

Stróż dziedzictwa



RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

Stróż dziedzictwa

TŁUM. FRANCISZEK MIRANDOLA

I

Brindaban Kundu wpadł rozwścieczony do izby swego ojca i zawołał w pasji:

— Wynoszę się precz! I to już!

— Marne, niewdzięczne stworzenie! — odrzyknął pogardliwie ojciec jego, Dżagannath Kundu. — Wynos się, idź sobie precz! Cóż to, tak się odgrażasz, jakbyś zwrócił wszystko co do grosza, to, co kosztowało twe jedzenie i suknie?

Jedzenie i suknie, jakie otrzymywali członkowie rodziny Dżagannatha, nie mogły kosztować dużo. Nasi mędrcy dawnych czasów umieli poprzestawać na bardzo małym, a sposób życia Dżagannatha świadczył, że żywił w duszy te same, co oni, ideały. Nie mógł, co prawda, dorównać ascetycznym filozofom niemającym wcale potrzeb, ale winę tego ponosiła zależność od zwyrodniałego społeczeństwa, w którym żył, i także pewne nierozumne wymagania natury, chcącej koniecznie utrzymać ścisły związek duszy z ciałem.

Dopóki Brindaban był bezzennym młodzieńcem, wszystko szło jako tako, ale od czasu żeniaczki zaczął szybko sprzeniewierzać się ideałom ojca swego. Nie mogło ulegać wątpliwości, że pojęcia syna o dobrobycie coraz bardziej zbaczaly ze ścieżyn ducha, a staczały się na bezdroża materializmu, w czym szedł on zresztą śladami dzisiejszego zepsutego świata. Nie chciał już znosić cierpliwie utrapień wywoływanych przez upał, zimno, głód i pragnienie, a minimum jego potrzeb w pożywieniu i ubraniu wzrastało z dniem każdym.

Ojciec z synem popadali coraz częściej w sprzeczki. Pewnego razu zachorowała ciężko żona Brindabana, tak że wezwano miejscowego lekarza. Gdy jednak tenże zapisał jakieś bardzo drogie lekarstwo, Dżagannath uznał to za oczywisty dowód jego zupełnego niedołęstwa i braku wiedzy i wyrzucił go za drzwi. Zrazu Brindaban prosił ojca usilnie, by nie przerywał leczenia, potem zaczął grozić, ale wszystko nie zdało się na nic. Gdy żona wreszcie zmarła, zbeształ ojca i nazwał go mordercą.

— Gadasz głupstwa! — odrzekł ojciec filozoficznie. — Czyż ludzie nie umierają, mimo iż pożerają masę najdroższych lekarstw? Gdyby one mogły ocalić życie, to królowie i cesarze byłiby nieśmiertelni! Zachciało ci się tylko, by żona twoja umarła z większą wystawnością i ceregielami jak twa matka, babka i prababka!

Gdyby Brindabana nie gnębił żal i smutek, tak że nie był w stanie myśleć, słowa te sprawiłyby mu niezawodnie pewną ulgę. Ani matka, ani babka nie zażywały lekarstw przed porzuceniem tego marnego świata, bo leżało to już w tradycjach rodu. Ale młodszą generacją nie chciała umierać za tę tradycję! W czasie kiedy działo się to, o czym opowiadamy, Anglicy dopiero co pojawili się u nas. Ludzie starzy, przerażeni obyczajami i poglądami młodego pokolenia, siedzieli po kątach i próbowali pocieszać się nieco, smoktając cybuchy fajek.

Koniec końców nowoczesny Brindaban rzekł swemu przestarzałemu ojcu: „Wynoszę się precz!”

Ojciec bez najmniejszego wahania zgodził się, a ponadto wyraźnie i uroczyście zapewnił, że gdyby miał synowi swemu pozostawić w spadku jeden choćby złamany szeląg, to godzi się, by mu ten czyn bogowie policzyli jako zbrodnię przelewania świętej krwi krów. Brindaban, odpowiadając również uroczystą przemową, oświadczył, że gdyby kiedykolwiek cokolwiek przyjął od ojca, godzien się stanie kary zgotowanej matkobójcom!

Asceta, Chciwość

Ta mała rewolucja wewnętrzna była dla wieśniaków, znudzonych wieczną jednostajnością życia, nader miłą rozrywką, gdy więc Dżagannath wydziedziczył swego syna, każdy z sąsiadów starał się go na swój sposób pocieszyć. „Tylko w tak zwyrodniałych czasach — mówili — mogło się zdarzyć, by z powodu żony mógł się poróżnić syn z ojcem!”. Wszyscy byli tego samego zdania i udowodnili ten pogląd przykładem. Jeśli komuś umrze żona, może sobie znaleźć drugą, ale gdy straci ojca, ani złotem, ani dobrym słowem nie może kupić sobie drugiego! Logice tej nic zarzucić nie było można, ale prawdopodobnie ta zupełna niemożliwość pozyskania drugiego ojca bardzo niewiele przyczyniała troski zwyrodniałemu synowi. Przeciwnie! Miał ją sobie za przywilej.

Również i stary Dżagannath nie cierpiał skutkiem rozłąki. Przede wszystkim zmniejszyły się od razu wydatki na utrzymanie domu, a po wtóre opuściła ojca obawa prześladowająca go dotąd stale, że syn jego i spadkobierca może go pewnego dnia otruć. Ile razy spożywał swą mizerną strawę, ciągle myślał o truciznie. Po śmierci synowej obawa ta zmniejszyła się znacznie, a po rozłące z synem znikła zupełnie.

Ale w sercu starca istniał pewien słabszy punkt. Brindaban zabrał z sobą czteroletniego syna swego, Gokula Czandrę. Ponieważ koszt utrzymania dziecka były małe, przeto wydatek ten nie obniżał miłości dziadka do wnuka. Co prawda, chociaż szczerze bolał nad tym, że syn zabrał dziecko, pocieszał się obliczaniem, ile zarabia miesięcznie przez nieobecność ich obu, ile to wynosi w ciągu roku i jaki musiałby być kapitał, który by równą sumę dawał z tytułu procentów.

Ale staremu coraz trudniej było wytrzymać w opustoszałym domu, gdzie Gokul Czandra nie płatał już teraz figlów. Nie było komu robić mu na złość, przeszkadzać w modlitwach, porywać i zjadać przygotowanych potraw, zabierać kałamarza i uciekać z nim, kiedy sumował długie kolumny cyfr i obliczał procenty. Niezmienny tryb codziennego życia, do którego nawykł od dawna, stał mu się ciężarem nieznośnym, od kiedy go nic nie psuło i nie mąciło. Doszedł do przekonania, że taki niebiański spokój znieść można chyba jeno po śmierci, w życiu przyszłym. Wzdychał ciężko i boleśnie spoglądając na dziury w kółdrze wydarte rączkami malca i dziwaczne rysunki atramentem na matach z szuwaru, będące dziełem tegoż samego artysty. Pewnego razu ostro zburczał chłopca za to, że podarł płócienne majtki w nader krótkim przeciągu dwu lat, a teraz łzy mu do oczu napływały, kiedy spozierał na te strzępy wiszące w sypialni na ścianie. Zdjął je, złożył starannie, schował uroczyście do skrzyni i uroczyście ślubował, że gdyby Gokul wrócił, to nie będzie nań burczał, choćby nawet co roku darł majtki.

Ale Gokul nie wracał, a biedny Dżagannath starzał się bardzo szybko.

Nie mógł już wytrzymać w domu jak dawniej i ciągle chodził. Nawet w porze południowej, kiedy każdy porządny człowiek we wsi spoczywał, jak przystoi, Dżagannath włóczył się po ulicach i zaułkach z fajką w ręku. Gdy go dostrzegły bawiące się dzieci, skupiały się, odsuwały na odległość zapewniającą bezkarność, a potem intonowały pieśń, jemu poświęconą przez miejscowego poetę, w której wymownymi słowami autor wielbił oszczędnościowe nawyczki bohatera. Nikt nie ważył się jednak wymienić jego rzeczywistego nazwiska, a to z obawy, by nie być zmuszonym do całodniowego postu. Nazywano go tedy podobnie — Dżaganasz — to znaczy mniej więcej: „niszczyciel świata”, gdyż Dżagannath znaczy tyle, co „pan świata”. Młode pokolenie nazywało go po prostu wampirem, a był po trochu podobny do tego stworzenia przez swą chudość i pomarszczoną skórę na twarzy.

II

Pewnego dnia Dżagannath szedł jak zazwyczaj ulicą wioski ocienioną mangami. Nagle spostrzegł chłopca nieznanego sobie, widocznie obcego przybysza. Chłopak przewodził zgrai wyrostków i właśnie objaśniał im plan jakiegoś nowego szelmostwa. Porwani jego energią i olśnieni nowością pomysłów uznali go inni chłopcy za swego wodza i poddali się jego władzy bez szemrania. W przeciwieństwie do innych chłopiec nie uciekł na widok starca, ale podszedł doń blisko i wytrzymał ze swego czandaru, czyli płachty okrywającej plecy niby płaszcz, żywą jaszczurkę. Zwierzątko skoczyło na Dżagannatha, zbiegło po jego plecach i uciekło w zarośla. Starzec przeraził się i dobrą chwilę drżał na całym ciele ku ogólnej radości urwipolców stawiających kozły z uciechy. Dżagannath poszedł dalej,

Tęsknota

klnąc i lając. Ale nie uszedł daleko, gdy nagle znikła z jego pleców gamcza, czyli szal, a za moment ujrzał ją na głowie obcego chłopaka przemienioną w piękny turban.

Zbytki malca uczyniły na starcu wielkie wrażenie, odczuł coś w rodzaju przyjemności. Nie zdarzyło się dawno, by jakieś dziecko ośmieliło się doń zbliżyć. Przystanął, zaczął mówić, czynić uwodzicielskie obietnice i na koniec skłonił chłopca, by podszedł doń blisko, po czym zawiązała się między nimi rozmowa:

- Jak się zwiesz, chłopcze?
- Nitaj Pal!
- Skąd jesteś?
- Nie powiem!
- Kto jest twym ojcem?
- Nie powiem!
- A dlaczego?
- Bo uciekłem z domu!
- Czemuż uciekłeś?
- Bo mnie ojciec chciał posłać do szkoły!

Od razu stało się starcowi oczywiste, że jest daremnym marnowaniem grosza posyłać chłopców do szkoły, przeto ojciec Pala musiał być człowiekiem nader niepraktycznym, skoro tego nie zauważył.

— Słuchaj no, chłopcze! — rzekł. — Czy chcesz iść ze mną i zostać w moim domu?

— Ano dobrze! — oświadczył malec i zaraz rozgospodarował się u Dżagannatha z taką obojętnością i pewnością siebie, jakby jego dom był cieniem pod przydrożnym drzewem. Mało tego. Zaczął od razu stawiać żądania dotyczące spraw pożywienia i odzieży, a czynił to z takim spokojem, jak gdyby cały rachunek z góry uregulował. Jeśli mu się coś wydało niedostateczne albo nieodpowiednie, bez ceregieli kłócił się ze starcem zęb za zęb. Z łatwością byłby Dżagannath utrzymał w ryzach własne dziecko, ale ponieważ było to dziecko cudze, przeto musiał się poddać i uczynił to bez oporu.

III

Wszyscy mieszkańcy wioski zdumiewali się niepomalu, że chłopak zdołał tak szybko opuścić starego skąpca. Pewni byli, iż Dżagannath niedługo umrze i wielkim bólem przejmowało ich to, że niezawodnie całe swe mienie pozostawi temu przybłądzie. Uniesieni zawiścią, z ochotą uczyniliby chłopcu coś złego, ale starzec pilnował go jak oka w głowie.

Czasem groził Nitaj sam, że sobie pójdzie precz, a wówczas starzec wabił go obietnicą zapisania mu wszystkiego, co posiada. Chociaż chłopak był malcem, mimo to jednak pojmował dobrze, że obietnica ta to rzecz niemała.

Mieszkańcy wioski zaczęli tedy czynić poszukiwania za ojcem chłopaka. Topniały im serca z litości na myśl o tych biednych stroskanych rodzicach i oświadczyli zgodnie, że Nitaj to urwis bez czci i wiary, skoro może im taki ból zadawać. Gromadzili nad głową jego wszelakie klątwy, ale zaciętrzewienie, z jakim to czynili, świadczyło raczej o ich zawiści, jak poczuciu sprawiedliwości.

Pewnego dnia dowiedział się starzec, że niejaki Damodar Pal poszukuje swego syna i właśnie przybył w tę okolicę. Gdy to posłyszał Nitaj, zaniepokoił się bardzo, zrezygnował co prędzej z przyszłych bogactw i chciał uciekać. Ale Dżagannath uspokoił go, mówiąc:

- Skryję cię tak dobrze, że nikt cię nie znajdzie, nawet sami mieszkańcy tej wioski!
- To podnieciło ciekawość chłopca i zawołał:
- Gdzież to? Pokaż mi zaraz to miejsce!
- Nie mogę cię tam zaprowadzić teraz — odrzekł starzec — bo spostrzegliby sąsiedzi.

Musisz zaczekać do nocy!

Myśl o tajemnej kryjówce zachwycała chłopca. Postanowił zaraz po odejściu ojca użyć jej do zabawy w chowanego i założyć się z innymi, że go nie znajdą. Nie znajdą na pewno i wygra zakład. To myśl doskonała! A co za pyszny figiel! Pomyśleć tylko, że ojciec przeszuka całą wieś i odejdzie z kwitkiem!

W południe zamknął Dżagannath chłopca w swym domu i znikł na pewien czas. Gdy wrócił, zasypał go Nitaj pytaniami.

Gdy się ściemniało, rzekł chłopak: — Dziadku, idźmy teraz!

— Musimy zaczekać nocy! — odrzekł Dżagannath.
Po chwili krzyknął Nitaj: — Dziadku, już noc! Chodźmy!
— Ludzie we wsi nie pokładli się jeszcze spać!
Nitaj czekał, a potem powiedział:
— Już śpią! Dziadku, śpią wszyscy! Chodźmy!

Noc stawała się coraz głębsza, sen kleił powieki Nitaja i musiał czynić wielkie wysiłki, by nie zasnąć. O północy wziął starzec chłopca za rękę i wyszedł z domu. Szli omackiem ciemnymi ulicami. Nie było żywego ducha, a ciszę przerywało jeno czasem naszczekiwanie psa, któremu odpowiadały chórem inne. Czasem też przeleciał ptak nocny zdziwiony krokami ludzkimi o tej niezwykłej porze. Nitaj drżał ze strachu i ścisnął kurczowo dłoń starca.

Minęli niejedno pole uprawne i doszli w końcu do bagniska porośniętego kępami sitowia, nad brzegiem którego stała stara, opuszczona, na poły zniszczona świątynia. — Ach, to tu? — powiedział Nitaj tonem rozczarowania. Wyobrażał sobie tę kryjówkę całkiem inaczej. Nie było to wcale tajemnicze ani dziwne. Ileż nocy od czasu ucieczki z domu spędził w takich opuszczonych świątyniach? Było to, co prawda, wcale niezłe miejsce do zabawy w chowanek, ale inni chłopcy mogli go tutaj dosyć łatwo znaleźć.

Dżagannath wszedł do świątyni i podniósł jedną z fliz kamiennych podłogi. Zdumiony chłopiec spostrzegł podziemną komnatę, pośrodku której świeciła się lampa. Strach i ciekawość toczyły walkę w jego małym serduszkach. Dżagannath zstąpił w dół po drabinie, a Nitaj poszedł za nim.

Gdy się znaleźli na dole, chłopiec, rozejrzawszy się wkoło, zobaczył pod ścianami mnóstwo dzbanów z brązu, na środku zaś leżał dywan do odprawiania modlitw i stały ryneczki z cynobrem, pastą sandalową, kwiaty i inne rzeczy potrzebne do odprawiania pudży. Nitaj, chcąc zaspokoić swą ciekawość, sięgnął do jednego dzbanu i wyjął garść rupii i innych złotych monet.

Dżagannath zwrócił się doń i rzekł:

— Powiedziałem ci, Nitaju, że dam ci wszystko, co posiadam. W tych dzbanach mieści się cały mój majątek i oddaję ci go dzisiaj.

Chłopak podskoczył z radości w górę.

— Wszystko moje? I nie odbierzesz mi ani jednej rupii, dziadku?

— Jeślibym to uczynił — rzekł starzec uroczyście — natenczas niechaj trąd okryje ręce moje! Ale stawiam jeden warunek. Oto gdyby kiedyś zjawił się tutaj wnuk mój, Gokul Czandra, albo syn jego, albo wnuk czy prawnuk, wreszcie jakikolwiek jego potomek, to musisz mu oddać wszystko aż do ostatniego pieniążka, rozumiesz?

Chłopak myślał, że starzec zwariował, przeto odparł:

— Dobrze!

— Usiądź na tym dywanie! — rzekł Dżagannath.

— Po co?

— Muszę ci udzielić pudży!

— W jakim celu? — spytał chłopak z przestraszaniem.

— Taki jest przepis.

Nitaj przysiadł na dywanie, a Dżagannath namaścił mu czoło pastą sandalową, zrobił mu czerwone kółko pomiędzy brwiami, otoczył wieniec kwiatów jego szyję i zaczął mamrotać formułki czarodziejskie.

Biedny Nitaj bał się bardzo. Siedział przybrany jak bożek i słuchał formułek i zaklęć.

— Dziadku! — szeptał raz po raz.

Ale Dżagannath nie przestawał się modlić i nie odpowiadał wcale.

Gdy skończył, z wysiłkiem porzyciwał dzbany do chłopca jeden po drugim i kazał mu złożyć takie ślubowanie:

— Przysięgam uroczyście, że cały ten skarb oddam Gokulowi Czandra Kundu, synowi Brinbadana Kundu, albo synowi, wnukowi czy prawnukowi rzeczonoego Gokula Czandra Kundu, albo wreszcie jakiemukolwiek innemu jego potomkowi prawowitemu!

Nad każdym dzbanem z osobna musiał Nitaj powtórzyć tę przysięgę, tak że w końcu popadł w zupełne oszołomienie, a język nie chciał się poruszać w jego ustach. Gdy ceremonia się skończyła, powietrze w piwnicy stało się duszne, gęste od kopciuchy lampy

Obyczaj, Obrzędy,
Okrucieństwo, Ofiara

i oddechów ich obu. Podniebienie chłopca wyschło zupełnie i wszystkie członki paliły go dotkliwie. Dusił się po prostu.

Lampa paliła się coraz to słabiej, mdląła, drżała i zgasła na koniec. Zapadła zupełna ciemność, a chłopak usłyszał, jak starzec wstępuje po szczeblach drabiny.

— Dziadku! Dokąd idziesz? — krzyknął przerażony.

— Odchodzę, a ty zostaniesz tutaj! Nie znajdzie cię nikt! Nie zapomnij imienia Gokula Czandra, syna Brindabana, wnuka Dżagannatha.

Wyciągnął na wierzch drabinę. Chłopak prosił głosem zdławionym strachem:

— Chciałbym wrócić do ojca!

Dżagannath położył na swoim miejscu kamienną płytę, a potem ukląkł i przyłożył do niej ucho. Usłyszał raz jeszcze wołanie Nitaja: — Ojcze! — potem rozległ się łoskot przygłuszony, jak by ciężki przedmiot upadł na podłogę, i zaległa cisza głęboka.

Dżagannath oddał pieczę nad skarbem swoim Yakowi, teraz zaczął kamienną płytę przysypywać ziemią. Skończywszy tę robotę, nasypał na całą podłogę cegieł i gruzu, a na wierzchu zasadził przygotowane trawy, małe roślinki i krzewy leśne. Noc minęła niemal, a on ciągle pracował, nie mogąc się oderwać od tego miejsca. Co chwila przykładł ucho do ziemi i nasłuchiwał.

Zdawało mu się, że z głębi ziemi, z dalekiej, przepastnej głębi, z samego jej środka dolatywały skargi bolesne. Zdawało mu się, że przesycona jest nimi ciemność i świt i że wszyscy ludzie świata, śpiący teraz, zerwą się ze snu. O... już wstają, siadają w łóżkach i nadśluchują.

Jak szalony sypał coraz to więcej ziemi na kamienie. Chciał zdławić te jęki, ale raz po raz słyhać było słowa: — Ojcze! Ojcze!

Bił nogami w ziemię co sił i krzyczał: — Cicho bądź! Cicho... bo wszyscy cię usłyszą! — Ale ciągle wydawało mu się, że słyszy wołanie: — Ojcze!

Słońce ukazało się na niebie. Dżagannath opuścił świątynię i znalazł się w szczerym polu. Ale i tu zawołał ktoś tuż za nim: — Ojcze! — Obrócił się przerażony i spostrzegł syna swego stojącego o kilka kroków.

— Ojcze! — powiedział Brindaban. — Słyszałem, że syn mój ukrywa się w domu twoim. Oddaj mi go!

Starzec rozwarł szeroko oczy, wykrzywił usta, pochylił się i wrzasnął: — Twój syn?

— Tak! Mój Gokul. Zwie się teraz Nitaj Pal, a ja przybrałem imię Damodara Pała. Oslawiony zostałeś, ojcze, tak w całej okolicy, że musiałem ukryć swe pochodzenie, gdyż inaczej ludzie nie chcieliby wymówić naszego nazwiska.

Z wolna podniósł starzec ręce w górę. Palce jego ruszały się, jakby chwytać chciał coś w powietrzu. Zachwiał się i padł zemdłony.

Przyszedłszy do zmysłów, zaprowadził syna swego do opuszczonej świątyni i gdy się w niej znaleźli, spytał: — Czy słyszysz jakieś wołanie?

— Nie! — odrzekł Brindaban.

To mu sprawiło widoczną ulgę.

Począwszy od tego dnia chodził wszędzie i pytał ludzi: — Czy słyszycie jęki i wołanie? — A ludzie wyśmiewali się ze zdzieciniałego starca.

W cztery lata później leżał Dżagannath na łożu śmierci. Coraz mglistszym wydawał mu się świat, przestawał go widzieć, coraz to ciężiej było mu oddychać. Nagle usiadł na posłaniu i zawołał jakby w szale gorączki:

— Nitaju! Ktoś mi zabrał drabinę!

Nie mogąc odnaleźć drabiny, by po niej wyjść ze swego straszliwego więzienia, gdzie nie było światła ni powietrza, padł na poduszki i ukrył się tam, gdzie nikt jeszcze odnalezionym nie został w ciągu długich wieków światowej zabawy w chowankę.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/tagore-stroz-dziedzictwa>

Tekst opracowany na podstawie: Rabindranath Tagore, Głodne kamienie i inne opowiadania, tłum. Jerzy Bandrowski, Franciszek Mirandola, Czytelnik, Warszawa 1961.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Dagmara Deska, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.